

16° Arr!

PLACE
CHARLES
DE GAULLE

1890 - 1970

CHEF DE LA FRANCE LIBRE

FONDATEUR DE LA 5^{ÈME} RÉPUBLIQUE

PRÉSIDENT DE LA RÉPUBLIQUE (1958-1969)

FREDERICK FORSYTH

NAJSŁYNNIEJSZY THRILLER XX WIEKU

DZIEŃ SZAKAŁA

ALBATROS

Rozdział pierwszy

W marcu, o szóstej czterdzieści rano, w Paryżu bywa zimno. Szczególnie zimno musi się wydawać człowiekowi, który za chwilę stanie oko w oko z plutonem egzekucyjnym. O tej właśnie porze, jedenastego marca 1963 roku, podpułkownik francuskich sił powietrznych stał na chłodnym żwirze fortu d'Ivry, z rękami skrępowanymi za słupem. Ze słabnącą nadzieją spoglądał na oddział ustawiony w odległości dwudziestu metrów od niego.

Jean-Marie Bastien-Thiry poruszył stopami, kiedy zawiązywali mu oczy. Po raz ostatni spojrzął w słońce. Szept księdza przypominał cichy kontrapunkt rozbrzmiewający na tle szczęku przeładowywanych i unoszonych karabinów.

Zza murów bazy doleciał basowy klakson ciężarowego berlieta, któremu zajechał drogę jakiś mniejszy pojazd kierujący się w stronę centrum. „Cel!”, zawołał oficer dowodzący plutonem. Salwa, która rozległa się chwilę później, nie wywołała żadnej zmarszczki na powierzchni budzącego się do życia miasta. Huk pojedynczego wystrzału, który po kilku sekundach dobił skazańca, rozpląnął się w narastającym zgiełku ulicznego ruchu.

Chociaż śmierć przywódcy terrorystycznej Organizacji Tajnej Armii*, dążącej do zamordowania prezydenta Francji, miała położyć kres dalszym zamachom na jego życie, dziwnym zrządzeniem losu zapoczątkowała nową falę przemocy. Aby zrozumieć, dlaczego tak się stało, trzeba cofnąć się w czasie i wyjaśnić, czemu w tamten marcowy poranek podziurawione kulami ciało zawisło bezwładnie na powrozach w więzieniu wojskowym pod Paryżem...

• • •

Słońce zniknęło za murami pałacu, kładąc na dziedzińcu upragnione długie cienie. O dziewiętnastej w najgorętszy dzień roku temperatura wynosiła dwadzieścia trzy stopnie Celsjusza. W mieście oblewającym się potem paryżanie ładowali do samochodów i pociągów zdenerwowane małżonki i rozwrzeszczane bachory, aby spędzić weekend na wsi. Był dwudziesty drugi sierpnia 1962 roku – dzień, w którym garstka mężczyzn zaczajonych na przedmieściach uznała, że prezydent Francji, generał Charles de Gaulle, musi umrzeć.

Kiedy mieszkańcy Paryża szykowali się do ucieczki przed skwarem nad nieco chłodniejsze brzegi rzek i plaże, rada ministrów obradowała za bogato zdobioną fasadą Pałacu Elizejskiego. Na jasnobrązowym żwirze dziedzińca frontowego w chłodnym cieniu stało szesnaście czarnych limuzyn, Citroenów DS, zaparkowanych zderzak w zderzak, tworząc krąg opasujący trzy czwarte placu.

Szoferzy ukryli się w najgłębszym cieniu przy zachodniej ścianie, tam gdzie najpierw zrobiło się chłodniej. Prowadzili blahe rozmowy ludzi oczekujących całe dnie na spełnienie kaprysu przełożonego.

*Organisation de l'Armée Secrète, w skrócie OAS.

Bez większego entuzjazmu narzekali na przeciągające się obrady, gdy tuż przed dziewiętnastą trzydzieści za szklanymi drzwiami stanął obwieszony łańcuchami i medalami odźwierny, by skinąć dłonią obstawie. Kierowcy cisnęli wypalone do połowy gaulloisy, gasząc je podeszwą. Ochroniarze i strażnicy zamarli na baczność w budkach obok masywnej bramy, którą otworzono na oścież.

Szoferzy siedzieli już za kierownicami swoich limuzyn, gdy za szklaną szybą pojawiła się pierwsza grupa ministrów. Otworzono drzwi i mężczyźni zaczęli schodzić po stopniach, wymieniając ostatnie uprzejmości i życząc kolegom spokojnego weekendu. Limuzyny zaczęły podjeżdżać do schodów w ustalonej kolejności, odźwierny z głębokim ukłonem otwierał tylne drzwi, a ministrowie wsiadali do swoich wozów i odjeżdżali rue du Faubourg Saint-Honoré, żegnani honorami Gwardii Republikańskiej.

Rozjechali się w ciągu dziesięciu minut. Na dziedzińcu pozostały jedynie dwa długie czarne citroeny DS 19, zaparkowane u podstawy schodów. Pierwszym wozem, z powiewającą chorągiewką prezydenta Republiki Francuskiej, kierował Francis Marroux, policyjny szofer z kwatery głównej i ośrodka szkoleniowego Żandarmerii Narodowej w Satory. Znany z milczącego usposobienia, trzymał się z dala od dowcipkujących kolegów. Dzięki stalowym nerwom i umiejętności szybkiego, a jednocześnie bezpiecznego prowadzenia samochodu został osobistym szoferem de Gaulle'a. Oprócz Marroux w limuzynie nie było nikogo. Za kierownicą drugiego citroena DS 19 siedział inny żandarm z Satory.

O dziewiętnastej czterdzieści pięć za szklanymi drzwiami ukazała się kolejna grupa. Ludzie stojący na żwirze ponownie wyprężyli się na baczność. W drzwiach ukazał się Charles de Gaulle ubrany w charakterystyczny dwurzędowy ciemnografitowy gar-

nitur i czarny krawat. Zgodnie ze starym zwyczajem przepuścił w drzwiach panią Yvonne de Gaulle, a następnie usłużył ramieniem, aby pomóc jej zejść do oczekującego citroena. Obok limuzyny rozdzielili się. Żona prezydenta usiadła z tyłu, po lewej stronie. Generał otworzył prawe drzwi i zajął miejsce obok niej.

Ich zięć, pułkownik Alain de Boissieu, ówczesny szef sztabu francuskiej kawalerii zmechanizowanej, sprawdził, czy jedno i drugie drzwi zostały należycie zamknięte, a następnie usiadł z przodu, obok Marroux.

Do następnej limuzyny wsiedli dwaj funkcjonariusze, którzy zeszli za prezydencką parą po schodach. Henri d'Jouder, zwalisty ochroniarz z algierskiego plemienia Kabilów, który pełnił tego dnia służbę, poprawił ciężki rewolwer w kaburze umieszczonej pod lewą pachą i opadł na fotel. Rozglądał się wokół, mrugając – nie patrzył na jadącą przodem limuzynę, lecz na chodniki i skrzyżowania mijanych ulic. Zamieniwszy ostatnie słowo z ochroniarzem, który pozostał w pałacu, na tylnym siedzeniu usiadł drugi funkcjonariusz, komisarz Jean Ducret, szef prezydenckiej ochrony.

Przy zachodnim murze dwaj policjanci w białych kaskach uruchomili motocykle i wolno podjechali do bramy. Zatrzymali się tuż przed nią w odległości trzech metrów od siebie i obejrzelili się w kierunku limuzyn. Marroux ruszył pierwszy, zbliżając się do eskorty motocyklowej. Za nim podążyła druga limuzyna. Była dwadzieścia pięćdziesiąt.

Żelazna brama otworzyła się ponownie i mała kolumna minęła wyprężonych strażników, wjeżdżając na rue du Faubourg Saint-Honoré. Dojechawszy do końca tej ulicy, konwój ruszył avenue de Marigny. Na ulicach panował ruch typowy dla sierpniowego weekendu i nic nie zapowiadało, że prezydent opuści pałac. Jedynie wycie motocyklowych syren informo-

wało policjantów kierujących ruchem o zbliżaniu się konwoju. Funkcjonariusze gestykulowali i gwizdali jak oszalali, aby w porę zatrzymać ruch.

Konwój nabrał prędkości w ocienionej drzewami alei i wjechał pędem na oświetlony promieniami słońca place Clemenceau, zmierzając w kierunku mostu Aleksandra III. Facet na skuterze z trudnością nadążał za rządową kolumną. Po przejechaniu mostu Marroux skręcił za motocyklową eskortą w avenue du Maréchal-Gallieni, a stamtąd w szeroki boulevard des Invalides. Mężczyzna na skuterze zdobył już informację, na którą czekał. Na skrzyżowaniu boulevard des Invalides z rue de Varenne zwolnił, aby stanąć przed kawiarnią z telefonem i odbyć rozmowę miejscową.

• • •

Podpułkownik Jean-Marie Bastien-Thiry czekał w kawiarence w podmiejskim Meudon. Ten trzydziestopięcioletni żonaty mężczyzna miał trójkę dzieci i pracował w Ministerstwie Lotnictwa. Pod maską profesjonalisty i człowieka oddanego rodzinie skrywał głęboką niechęć do Charles'a de Gaulle'a; według niego generał zdradził Francję i ludzi, którzy w 1958 roku pomogli mu ponownie sięgnąć po władzę, oddając Algierię w ręce arabskich nacjonalistów.

Chociaż nie poniósł osobistej szkody z powodu wycofania się Francji z Algierii, nie kierowały nim względy prywatne. Jako patriota uważał, że przysłuży się ukochanej ojczyźnie, zabijając człowieka, który ją zdradził. W tym czasie stanowisko to podzielały tysiące Francuzów, lecz tylko nieliczni byli fanatycznymi członkami Organizacji Tajnej Armii, zdecydowanymi zamordować de Gaulle'a i położyć kres jego rządowi. Takim człowiekiem był Bastien-Thiry.

Kiedy zadzwonił telefon, sączył piwo. Barman podał mu słuchawkę, a następnie poszedł na drugi koniec baru i włączył telewizor. Bastien-Thiry słuchał kilka sekund, aby w końcu mruknąć: „Znakomicie, dziękuję” i odłożył słuchawkę. Już wcześniej zapłacił za piwo. Wyszedł z baru na ulicę, wyciągnął gazetę, którą trzymał pod pachą, i złożył ją dwukrotnie.

W mieszkaniu na pierwszym piętrze, po drugiej stronie ulicy, młoda kobieta zaciągnęła zasłonę z koronki i powiedziała dwunastu mężczyznom, którzy czekali w pokoju: „Trasa numer dwa”. Pięciu młodzików, amatorów w dziedzinie zabijania, przestało wykręcać nerwowo ręce i skoczyło na równe nogi.

Siedmiu pozostałych było bardziej doświadczonych i mniej nerwowych. Grupą zamachowców dowodził zastępca Bastiena-Thiry’ego, wywodzący się z rodziny ziemiańskiej porucznik Alain Bougrenet de la Tocnaye, zwolennik skrajnej prawicy. Trzydziestopięcioletni mężczyzna miał żonę i dwójkę dzieci.

Najbardziej groźnym z zamachowców był trzydziestodwuletni Georges Watin, barczysty facet o kwadratowej szczęce, fanatyczny członek OAS, niegdyś inżynier rolnictwa z Algierii, który w ciągu dwóch lat okazał się jednym z najbardziej niebezpiecznych zabójców tajnej organizacji. Z powodu odniesionej rany nogi utykał i dlatego koledzy nazywali go Kulawy.

Po otrzymaniu wiadomości od dziewczyny dwunastu mężczyzn zbiegło po schodach na tył domu, gdzie w bocznej uliczce czekało sześć skradzionych lub wynajętych pojazdów. Była dziewiętnasta pięćdziesiąt pięć.

Bastien-Thiry poświęcił wiele dni na przygotowanie zasadzki, określenie kątów ostrzału, szybkości i odległości poruszających się pojazdów oraz siły ognia niezbędnej do

zatrzymania prezydenckiego konwoju. Wybrał długi prosty odcinek drogi nazywany avenue de la Libération, prowadzący do głównego skrzyżowania Petit-Clamart. Pierwsza grupa ze snajperem miała rozpocząć ogień do prezydenckiej limuzyny w odległości dwustu metrów przed skrzyżowaniem. Mężczyźni ukryci za furgonetką marki Renault Estafette zaparkowaną przy poboczu mieli strzelać pod ostrym kątem, aby dać czas snajperowi.

Z obliczeń Bastiena-Thiry’ego wynikało, że w pierwszej limuzynie utkwii sto pięćdziesiąt pocisków, zanim zrówna się z furgonetką. Kiedy prezydencki citroen zostanie zatrzymany, z bocznej uliczki wybiegnie druga grupa, aby razić ogniem wóz ochrony z bliskiej odległości. Obie grupy miały kilka sekund na dokończenie dzieła i dotarcie do trzech pojazdów czekających w bocznej uliczce.

Bastien-Thiry, trzynasty członek grupy uderzeniowej, pełnił funkcję obserwatora. O dwudziestej pięć obie grupy zajęły wyznaczone pozycje. W odległości stu metrów od miejsca zasadzki, na przystanku autobusowym, stał beczynnie Bastien-Thiry z gazetą w dłoni. Machnięcie gazetą miało być sygnałem dla Serge’a Berniera, dowódcy pierwszego oddziału, czekającego w ukryciu obok renault estafette. Bernier miał przekazać rozkaz strzelcowi leżącemu w trawie u jego stóp, a Alain Bougrenet de la Tocnaye – zająć drogę wozowi ochrony. Watin zwany Kulawym czekał obok, ściskając w dłoni pistolet maszynowy.

• • •

Po odblokowaniu Petit-Clamart konwój generała de Gaulle’a opuścił zatłoczone ulice centrum Paryża i wjechał na puste podmiejskie arterie. Szofer przyspieszył do niemal dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Wjeżdżając na pusty odcinek drogi, Francis Marroux rzucał okiem na zegarek, wyczuwając zniecierpliwienie starego generała i jeszcze bardziej przyspieszając. Dwaj policjanci na motocyklach zostali w tyle, zajmując miejsce na końcu konwoju. De Gaulle nie lubił afiszować się ochroną i rezygnował z motocyklowej eskorty, gdy tylko mógł. W ten sposób kawalkada dotarła do avenue de la Division Leclerc w Petit-Clamart. Była dwudziesta siedemnaście.

Dwa kilometry dalej Bastien-Thiry miał doświadczyć skutków swojej fatalnej pomyłki. Dowie się o niej od policji kilka miesięcy później, w celi, oczekując wykonania kary śmierci. Planując datę zamachu, sięgnął po kalendarz i zanotował, że dwudziestego drugiego sierpnia zmrok zapadnie o dwudziestej trzydzięści pięć, co dawało spiskowcom dość czasu, nawet gdyby de Gaulle zjawił się później niż zwykle, jak się faktycznie stało. Niestety, kalendarz, z którego korzystał, pochodził z roku 1961. Rok później dwudziestego drugiego sierpnia zmierzch zapadł o dwudziestej dziesięć. Te dwadzieścia pięć minut miało zaważyć na całej współczesnej historii Francji. O dwudziestej osiemnaście Bastien-Thiry dostrzegł konwój pędzący avenue de la Libération z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę. Zaczął machać gazetą jak oszalały.

Sto metrów dalej Bernier wpatrywał się gniewnie w niewyraźną postać na przystanku autobusowym.

– Czy pułkownik dał znak gazetą? – zapytał samego siebie. Nie zdążył dokończyć, gdy ostry nos prezydenckiej limuzyny śmignął obok przystanku, pędząc ku niemu. – Ognia! – krzyknął do snajpera leżącego u jego stóp. Zaczęli strzelać pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do ruchomego celu mijającego ich z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę.

W limuzynie trafiło dwanaście kul – jedynie wskutek świetnego wyszkolenia snajpera. Większość pocisków utknęła w

jadącym z tyłu citroenie. Kule rozerwały dwie opony. Choćby były to opony samouszczelniające, nagły spadek ciśnienia spowodował, że pędzący samochód zakołysał się i przednie koła wpadły w poślizg. Właśnie w tym momencie Francis Marroux ocalił de Gaulle'owi życie.

Kiedy strzelec wyborowy, dawny legionista Varga, celował w opony, pozostali strzelali w tylną szybę oddalającej się limuzyny. Kilka kul przeszło karoserię, a jedna rozbiła tylną szybę, przelatując w odległości kilkunastu centymetrów od prezydenta. Siedzący z przodu pułkownik de Boissieu odwrócił się i krzyknął do teściów: „Na podłogę!”. Pani de Gaulle położyła głowę na kolanach męża, a generał rzucił lodowato: „Co? Znowu?”, wyglądając przez tylną szybę.

Marroux skręcił drżącą kierownicę, wchodząc w delikatny poślizg i spuszczać nogę z gazu. Po chwilowej utracie mocy citroen przyspieszył w kierunku skrzyżowania z avenue du Bois, gdzie czekali mężczyźni z drugiej grupy uderzeniowej OAS. Marroux ujrzał nagle za sobą drugi wóz prezydenckiej ochrony nietknięty przez kule.

Dla Bougreneta de la Tournaye'a siedzącego w wozie z własnym silnikiem, zaparkowanym w avenue du Bois, widok rozpędzonych limuzyn oznaczał jasny wybór: zająć im drogę i popełnić samobójstwo lub zwolnić sprzęgło pół sekundy później. Wybrał drugie rozwiązanie. Kiedy ruszył od krawężnika i zrównał się z prezydenckim konwojem, znalazł się nie obok limuzyny de Gaulle'a, lecz strzelca wyborowego d'Joudera i komisarza Ducreta. Watin wychylił się przez okno z prawej strony i wpakował cały magazynek w tył jadącego przed nim citroena DS, w którym za rozbitą szybą dostrzegł dumny profil de Gaulle'a.

– Czemu ci idioci nie odpowiadają ogniem? – spytał żałośnie prezydent.

D’Jouder próbował strzelić do zamachowców z odległości trzech metrów dzielących oba samochody, lecz policyjny kierowca blokował mu widok. Ducret krzyknął, aby szofer jechał na ogonie prezydenckiej limuzyny, i sekundę później wóz OAS pozostał w tyle. Dwaj motocykliści, których niemal przewróciło nagle wtargnięcie wozu de la Tocnaye’a, odzyskali równowagę i dogonili konwój. Przemknęli rondo i skrzyżowanie, pędząc w stronę Villacoublay.

Oasowcy, którzy pozostali na miejscu zamachu, nie mieli czasu na wzajemne oskarżenia. Wiedzieli, że pomówią o tym później. Porzucili trzy wozy użyte podczas operacji, wsiedli do przygotowanych samochodów i zniknęli w zapadających ciemnościach.

Używając umieszczonego w samochodzie nadajnika, komisarz Ducret nawiązał łączność z komendą policji w Villacoublay, opisując przebieg wydarzeń. Kiedy konwój nadjechał dziesięć minut później, generał de Gaulle polecił, aby jechać prosto na płytę lotniska, gdzie czekał helikopter. Gdy limuzyna stanęła, otoczyła ją grupa oficerów i funkcjonariuszy, otwierając drzwi i pomagając stanąć na nogi drżącej pani de Gaulle. Z drugiej strony rozbitej limuzyny wyłonił się generał, strząsając kawałki szkła z klap marynarki. Ignorując nacechowane paniką prośby oficerów, obszedł samochód, aby podać ramię żonie.

– Chodź, kochanie. Pojedziemy do domu – oznajmił małżonce i przedstawił personelowi lotniczemu swoją opinię na temat OAS: – Ci ludzie nie potrafią strzelać. – Po tych słowach zaprowadził żonę do helikoptera i zajął miejsce obok niej. Do prezydenckiej pary dołączył d’Jouder i chwilę później odlecieli, aby spędzić weekend na wsi.

Francis Marroux siedział cały czas za kółkiem z twarzą bladą jak płótno. Obie opony z prawej strony w końcu się

poddały i citroen DS jechał na felgach. Ducret wymamrotał ciche podziękowanie pod jego adresem i poszedł ustalić, co się stało.

• • •

Podczas gdy dziennikarze na całym świecie snuli spekulacje na temat zamachu, dysponując jedynie własnymi domysłami, francuska policja pod kierunkiem Sûreté Nationale, przy wsparciu tajnych służb i żandarmerii, przeprowadzała największą operację w historii Francji. Akcja policyjna przerodziła się niebawem w największą obławę, jaką znał ten kraj. Wkrótce miało ją przyćmić polowanie na innego zabójcę o nieznaney tożsamości, który figurował w kartotekach pod kryptonimem Szakal.

Do pierwszego przełomu doszło podczas rutynowej kontroli przeprowadzonej trzeciego września, jak to zwykle bywa w policyjnej robocie. Nieopodal Valence, na południe od Lyonu, podczas blokady głównej drogi wiodącej z Paryża do Marsylii, zatrzymano prywatny samochód z czterema mężczyznami. Tego dnia skontrolowano setki wozów w celu sprawdzenia dokumentów pasażerów. Tym razem okazało się, że jeden z mężczyzn ich nie ma. Utrzymał, że je zgubił. Wraz z pozostałymi został przewieziony do Valence na rutynowe przesłuchanie.

Na posterunku okazało się, że trzech pierwsi nie mieli nic wspólnego z czwartym, którego najzwyczajniej w świecie zabrali po drodze. Wypuszczono ich. Czwartemu pobrano odciski palców i przesłano je do Paryża, aby sprawdzić, czy jest tym, za kogo się podaje. Odpowiedź nadeszła dwanaście godzin później: odciski palców należały do dwudziestodwuletniego dezertera z Legii Cudzoziemskiej oskarżonego o naruszenie przepisów wojskowych. Człowiek ten podał policji prawdziwe nazwisko – Pierre-Denis Magade.

Magade został przewieziony do kwatery głównej policji kryminalnej w Lyonie. Przed przesłuchaniem jeden z pilnujących go policjantów spytał żartem:

– Wiesz coś o zamachu w Petit-Clamart?

Magade wzruszył obojętnie ramionami.

– Tak, a co chcesz wiedzieć?

Magade „śpiewał” przez bite osiem godzin. Oficerowie policji słuchali jak skamieniały, a stenografowie zapisywali jeden notatnik po drugim. W końcu Pierre-Denis Magade wymienił wszystkich uczestników zamachu w Petit-Clamart oraz dziewięciu innych, którzy odegrali pomniejszą rolę w fazie planowania lub zdobywania sprzętu. W sumie dwadzieścia dwie osoby. Polowanie trwało, lecz teraz policja wiedziała już, kogo szukać.

W końcu tylko jednemu zamachowcowi udało się uciec i nie schwytano go do dziś. Georges Watin zdołał się wymknąć. Podobno mieszka w Hiszpanii razem z innymi przywódcami OAS, ukrywając się wśród emigrantów z Algierii.

Przesłuchania i przygotowanie aktu oskarżenia przeciwko Bastieneowi-Thiry’emu, Bougrenetowi de la Tocnaye’owi i pozostałym uczestnikom spisku zakończono w grudniu, a w styczniu 1963 wszyscy stanęli przed sądem.

Podczas procesu OAS przypuściła kolejny zmasowany atak na gaullistowski rząd, a francuskie tajne służby odpowiedziały kłami i pazurami. Pod powierzchnią eleganckiego paryskiego życia, pod płaszczykiem kultury i cywilizacji, toczyła się jedna z najbardziej zacieklej i sadystycznych podziemnych wojen w historii współczesnego świata.

Francuskie służby specjalne nosiły nazwę Służby Dokumentacji Zagranicznej i Kontrwywiadu, w skrócie SDECE*. Ich zadaniem było prowadzenie działalności wywiadowczej poza

*Service de Documentation Extérieure et de Contre-espionnage (fr.).

granicami Francji i działalności kontrwywiadowczej na jej terytorium, co niekiedy się pokrywało. Tak zwany wydział pierwszy parł się typową działalnością wywiadowczą i dzielił na komórki oznaczone literą R*. R1 zajmowała się analizą danych wywiadowczych, R2 Europą Wschodnią, R3 Europą Zachodnią, R4 Afryką, R5 Bliskim Wschodem, R6 Dalekim Wschodem, R7 Ameryką/półkulą zachodnią. Działalność kontrwywiadowcza była domeną wydziału drugiego. Wydziały trzeci i czwarty tworzyły tak zwaną sekcję komunistyczną. Wydział szósty zajmował się finansami, a wydział siódmy administracją.

Wydział piąty, określany mianem „operacyjnego”, powołano do zwalczania OAS. W jego kwaterze głównej, zlokalizowanej w kompleksie niepozornych gmachów przy boulevard Mortier, nieopodal Porte des Lilas, w obskurnej podmiejskiej dzielnicy Paryża, walkę z terrorystami toczyły setki pracowników wydziału operacyjnego. Ludzie ci, głównie Korsykanie, stanowili niemal idealne uosobienie „twardzieli”. Świetnie wyszkolonych funkcjonariuszy wysłano do ośrodka Satory, gdzie z najlepszych utworzono sekcję specjalną, ucząc ich wszystkiego o sztuce niszczenia i zabijania. Stali się mistrzami we władaniu bronią ręczną i w walce wręcz, opanowali karate i judo. Ukończyli kursy radiołączności, saperski i sabotażu. Wiedzieli, jak przesłuchiwać, uciekając się do tortur i bez ich pomocy, jak porywać ludzi, podpalać i zabijać.

Niektórzy mówili wyłącznie po francusku, inni posługiwali się biegle kilkoma językami i czuli jak w domu w wielkich stolicach świata. Mieli prawo zabijać podczas wykonywania zadań i często to czynili.

Kiedy działania OAS przybrały na sile i stały się bardziej brutalne, szef SDECE, generał Eugène Guibaud, spuścił psy ze

* Renseignement (fr.), informacje.

smyczy. Niektórzy z agentów wstąpili do OAS i przeniknęli na najwyższe szczeble organizacji. Dostarczali później cennych informacji, które umożliwiały podejmowanie skutecznych działań ich kolegom. Członkowie OAS wykonujący zadania we Francji lub innych krajach byli narażeni na represje policji z powodu informacji przekazanych przez agentów wydziału operacyjnego, którzy przeniknęli do organizacji terrorystycznych. Inni byli poszukiwani przez policję, nie mogli wjechać do Francji i ginęli poza jej granicami. Wielu krewnych członków OAS, którzy zniknęli w tajemniczych okolicznościach, uważa, że ich bliscy zostali zlikwidowani przez funkcjonariuszy wydziału operacyjnego.

Oasowcy nie potrzebowali nauki w dziedzinie przemocy. Nienawidzili agentów wydziału operacyjnego, których nazywali *barbouze* – „brodatymi”, tajną policją, ponieważ działali potajemnie, bardziej skrycie niż zwykła policja. W okresie walki o władzę między OAS i rządem gaullistowskim oasowcy schwytali w Algierii siedmiu „brodatych”. Później znaleziono ich okaleczone, pozbawione uszu i nosa ciała dyndające na balkonach i latarniach. Tajna wojna trwała, nigdy nie dowiemy się dokładnie, ilu ludzi zginęło podczas tortur w piwnicach po jednej i drugiej stronie.

Pozostali agenci działali na zewnątrz OAS, gotowi przystąpić do akcji na rozkaz SDECE. Niektórzy przed wstąpieniem na służbę mieli kontakt ze światem przestępczym i podtrzymywali stare znajomości, skłaniając dawnych przyjaciół do wykonania brudnej roboty dla rządu. Działania te spowodowały, że we Francji zaczęto mówić o policji „równoległej” (nieoficjalnej) wykonującej rozkazy prawej ręki prezydenta de Gaulle’a, *monsieur Jacques’a* Foccarta. W rzeczywistości nie istniała żadna policja „równoległa”, a akcje jej przypisywane były dziełem agentów wydziału operacyjnego lub szefów grup

mafijnych z tak zwanego środowiska wykonujących zlecenia dla rządu.

Korsykanie, którzy zdominowali wydział operacyjny oraz światek przestępczy Paryża i Marsylii, wiedzieli to i owo na temat wendety, dlatego po zamordowaniu siedmiu „brodatych”, wchodzących w skład działającej w Algierii Misji C, wydali krwawą wojnę OAS. Wcześniej, w 1944 roku, korsykańscy przestępcy pomogli aliantom w lądowaniu na południu Francji (uczynili to we własnym interesie, aby w nagrodę mieć pod kontrolą handel narkotykami na Lazurowym Wybrzeżu). Na początku lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku Korsykanie stanęli ponownie po stronie Francji w okresie krwawej wendety przeciwko OAS. Ponieważ wielu członków OAS było *pieds-noirs** i zewnętrznie przypominało Korsykanów, czasami wojna sprawiała wrażenie bratobójczej.

Podczas procesu Bastiena-Thiry'ego i jego towarzyszy trwała kampania terroru rozpętana przez OAS. Jej przywódcą i ukrytym pomysłodawcą zamachu w Petit-Clamart był pułkownik Antoine Argoud. Ukończył jedną z czołowych francuskich uczelni, École Polytechnique, odznaczał się przenikliwym umysłem i niespożytą energią. W okresie Wolnej Francji służył w stopniu porucznika pod de Gaulle'em, działając na rzecz wyzwolenia kraju spod nazistowskiej okupacji. Później dowodził pułkiem kawalerii zmechanizowanej w Algierii. Ten niski, żylasty mężczyzna był świetnym, choć bezlitosnym żołnierzem. W 1962 roku został szefem komórki operacyjnej OAS na wygnaniu.

Ponieważ miał doświadczenie w prowadzeniu wojny psychologicznej, wiedział, że walka przeciw gaullistowskiej Francji musi być toczona na wszystkich frontach środkami

*Francuscy mieszkańcy Algierii w czasach kolonialnych (fr.).

terroru, dyplomacji i narzędziami public relations. Elementem kampanii było zaproszenie szefa Krajowej Rady Ruchu Oporu*, politycznego ramienia OAS, dawnego ministra spraw zagranicznych Francji Georges'a Bidaulta, do udzielenia szeregu wywiadów prasowych i telewizyjnych w Europie Zachodniej, w których wyjaśnił w „cywilizowany” sposób, dlaczego OAS sprzeciwia się polityce generała de Gaulle'a.

Niezwykła inteligencja Argouda, która kiedyś uczyniła go najmłodszym pułkownikiem armii francuskiej, sprawiła, że stał się najbardziej niebezpiecznym członkiem OAS. Zorganizował Bidaultowi cykl wywiadów z korespondentami głównych sieci telewizyjnych i gazet, podczas których wytrawny polityk przedstawił w oględny sposób mniej chlubne działania zbirów z OAS.

Sukces kampanii medialnej Bidaulta zaniepokoił francuski rząd równie mocno jak taktyka terroru i seria wybuchów bomb z plastycznym materiałem wybuchowym w kinach i kawiarniach całej Francji. Czternastego lutego wykryto kolejny spisek, którego celem było zgładzenie generała de Gaulle'a. Następnego dnia prezydent miał wygłosić odczyt w École Militaire na Polu Marsowym. Zamachowcy chcieli go zgładzić strzałem w plecy z broni snajpera ukrytego pod okapem sąsiedniego budynku.

Wkrótce przed sądem stanęli kolejni spiskowcy: Jean Bichon, kapitan artylerii Robert Poinard i pani Paule Rousselet de Liffiac, nauczycielka angielskiego z Akademii Wojskowej. Snajperem był Georges Watin, lecz Kulawemu i tym razem udało się ująć cało. Karabin z lunetą snajperską został znaleziony w mieszkaniu Poinarda i cała trójka trafiła do aresztu. Podczas późniejszego procesu zeznali, że zastanawiając się

* Conseil National del la Résistance, CNR (fr.).

nad sposobem przemycenia Watina i karabinu do gmachu akademii, zasięgnęli rady chorążego Mariusa Tho, a ten udał się wprost na policję. Generał de Gaulle zgodnie z planem wziął udział w uroczystości wojskowej piętnastego lutego, musiał jednak przyjechać w opancerzonym samochodzie, co bardzo go zdenerwowało.

Chociaż akcja była przeprowadzona w sposób niesłychanie amatorski, rozżłościła prezydenta. Następnego dnia wezwał do siebie ministra spraw wewnętrznych Freya, wałnął pięścią w stół i oznajmił urzędnikowi odpowiedzialnemu za bezpieczeństwo kraju: „Trzeba położyć temu kres!”.

Zdecydowano, że należy dać nauczkę oasowcom i wymierzyć surowe wyroki czołowym przywódcom, aby odstraszyć pozostałych. Frey nie miał wątpliwości, jakim wyrokiem zakończy się proces Bastiena-Thiry’ego, który toczył się przed Najwyższym Sądem Wojskowym, albowiem na ławie oskarżonych zamachowiec nie umiał wyjaśnić, dlaczego Charles de Gaulle powinien umrzeć. Trzeba było jednak bardziej zdecydowanych działań, aby odstraszyć pozostałych.

Dwudziestego drugiego lutego na biurku szefa wydziału operacyjnego znalazła się kopia notatki służbowej, którą szef wydziału drugiego SDECE (zajmującego się kontrwywiadem i bezpieczeństwem wewnętrznym) przesłał ministrowi spraw wewnętrznych. Oto jej fragment:

Udało się nam ustalić miejsce pobytu jednego z głównych przywódców organizacji wywrotowej, byłego pułkownika armii francuskiej Antoine’a Argouda. Argoud uciekł do Niemiec i ma zamiar, zgodnie z informacjami przekazanymi przez wywiad, pozostać tam kilka dni...

W tych warunkach jego ujęcie należy uznać za możliwe. Z powodu odrzucenia prośby naszego kontrwywia-

du skierowanej do niemieckich władz, a także dlatego, że Niemcy spodziewają się, iż depczemy po piętach Argoudowi i innym przywódcom OAS, operacja mająca na celu ujęcie Argouda powinna być przeprowadzona z najwyższą szybkością i dyskrecją.

Zadanie aresztowania Argouda zlecono wydziałowi operacyjnemu.

Po południu dwudziestego piątego lutego Argoud wrócił do Monachium z Rzymu, gdzie spotkał się z innymi przywódcami OAS. Zamiast udać się wprost na Unertlstrasse, pojechał taksówką do hotelu Eden-Wolff, w którym zarezerwował pokój, najwyraźniej planując odbyć jakieś spotkanie. Nigdy tam jednak nie dotarł. W holu podeszło do niego dwóch mężczyzn mówiących płynnie po niemiecku. Przekonany, że ma do czynienia z niemiecką policją, sięgnął do kieszeni, aby pokazać paszport.

Wtedy wykręcono mu ręce w żelaznym uścisku, powalono i wywleczono na zewnątrz do czekającej furgonetki z pralni. Kiedy zaprotestował, usłyszał potok francuskich przekleństw. Twarda pięść grzmotnęła go w nos, a inna uderzyła w brzuch. Poczuł palec na splocie nerwowym poniżej ucha i stracił przytomność.

Dwadzieścia cztery godziny później ktoś zadzwonił na Quai des Orfèvres 36, do wydziału kryminalnego paryskiej policji. Szorstki głos poinformował sierżanta pełniącego służbę, że dzwoni w imieniu OAS i że Antoine Argoud leży „zgrabnie związany” w furgonetce zaparkowanej obok ich gmachu. Kilka minut później otworzono drzwi furgonetki i Argouda otoczyli oniemiałymi z wrażenia policjanci.

Argoud nie mógł skupić wzroku, ponieważ od dwudziestu czterech godzin miał opaskę na oczach. Trzeba go było podtrzy-

mać, aby nie upadł. Twarz pokrywała zaschnięta krew z nosa, a usta były obolałe od knebla wyjętego przez policjantów.

– Czy pan to pułkownik Antoine Argoud? – spytał któryś z funkcjonariuszy.

– Tak – wymamrotał.

Agenci wydziału operacyjnego jakimś sposobem przemycili go przez granicę poprzedniej nocy, a anonimowy rozmówca powiadomił policję o przesyłce czekającej na policyjnym parkingu, co trzeba uznać za specyficzny rodzaj poczucia humoru. Argouda trzymano w areszcie do czerwca 1968 roku. Porwanie Argouda wywołało ogromną demoralizację w szeregach OAS, otworzyło też drogę jego ukrytemu w mroku zastępcy, mało znanemu, lecz równie inteligentnemu podpułkownikowi Marcowi Rodinowi, który objął dowództwo nad działaniami mającymi na celu zgładzenie de Gaulle’a. Pod wieloma względami było to niefortunne wydarzenie.

Czwartego marca Najwyższy Sąd Wojskowy wydał wyrok na Jeana-Marie Bastiena-Thiry’ego. On i dwaj inni zostali skazani na karę śmierci, podobnie jak trzech kolejnych, w dalszym ciągu przebywających na wolności, między innymi Watin, Kulawy. Ósmego marca generał de Gaulle przez trzy godziny słuchał w milczeniu prawników reprezentujących skazanych, którzy błagali go o ułaskawienie. Zamienił dwa wyroki śmierci na dożywocie, lecz kara dla Bastiena-Thiry’ego nie została cofnięta.

Tej samej nocy prawnik przekazał pułkownikowi sił powietrznych ostateczną decyzję.

– Wyrok zostanie wykonany jedenastego marca – powiedział klientowi, a gdy ten uśmiechnął się do niego z niedowierzaniem, wybuchnął: – Zostaniesz rozstrzelany!

Bastien-Thiry pokręcił głową, nie tracąc dobrego humoru.

– Nic nie rozumiesz – wyjaśnił prawnikowi. – Żaden francuski pułk nie wykona takiego wyroku.

Okazało się, że był w błędzie. Wiadomość o wykonaniu wyroku ogłoszono o ósmej rano we francuskim Radiu Europa 1. Stacja była słyszalna na terenie prawie całej Europy Zachodniej, pod warunkiem że ktoś nastroił na nią odbiornik. W małym pokoiku hotelowym w Austrii komunikat ten zapoczątkował cały ciąg myśli i działań, które sprawiły, że generał de Gaulle otarł się o śmierć bliżej niż kiedykolwiek dotąd. W hoteliku tym zatrzymał się pułkownik Marc Rodin, nowy szef komórki operacyjnej OAS.